№ 8. 20. Lutego 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Głos tułacza.

Niewydany wiersz Teofila Lenartowicza*).

Bodajby nigdy nie przyszło nikomu
Opuszczać kraju, rodziny i domu,
I w obcej ziemi wieść żywot tułaczy,
Na łonie nędzy i czarnej rozpaczy;
Która gdy chmurne płaszcza swego zwoje
Rzuci na biedną, tęschną duszę twoje,
Już go nie zedrzesz, zostanie na tobie
Bólem za życia — słabością na grobie.
Zczerniejesz cały, jak duch zatracony,
Pękną serdecznie, słodko brzmiące struny.
I niema, pusta, otoczy cię głusza,
W której się będzie miotać biedna dusza
Jak zwierz się w sieci ułowiony miota,
Aż zerwie strunę ostatnią żywota.

* * *

W około ciebie brzmieć będzie wesele,
Pod stopy twemi ujrzysz kwiatów wiele,
Lecz od wesela oko się odwróci,
A kwiat wiosenny serce ci zasmuci.
Przed myślą twoją jedną i tą samą
Świat się przedstawi martwą panoramą.
Zamki, kościoły i wody srebrzyste,
Przeniosą ciebie w twe strony ojczyste:
Niemy, zbolały, przed cudnym widokiem,
Będziesz się patrzył obłąkanym wzrokiem —
I pójdziesz dalej bez czucia, bez chęci,
Nic nie unosząc z tych cudów w pamięci,
Tak dzień przeminie — a gdy w nocy cieniu,
Zalegnie miasto w głębokie milczenie,
Ty na twem łożu na wpół konający,
Uczujesz zimny pot z czoła lecący.
Piersi twe będą robić nieprzerwanie,
A wzrok wyglądać, czy prędko zaranie?
Sen jeśli przyjdzie do znużonej głowy,
To niespokojny, dziki, gorączkowy.
I będziesz widział przyjaciół w więzieniu,
Ojczystą chatę stojącą w płomieniu;
Matkę na marach — mogiły otwarte
I butne wrogi na gruzach rozparte,
Przeciwko którym wznosisz miecz bezsilny;
I będziesz widział swój kamień mogilny,
Na którym napis odkryje się cały:
Żył bez ojczyzny, umierał bez chwały.

Ktokolwiek będziesz stąpał po tej drodze;
Nie mów, że przejdziesz, nie ufaj swej nodze.
Chyba że cały wzniesiesz się do Boga,
Wtedy straszliwa odstąpi cię trwoga.
I przez najwyższe miłosierdzie boże,
Przejdziesz huczące, zbałwanione morze.
Tułaczu polski, jeśli myśli twojej
Anielska, górna moc nie uspokoi,
Schnąć będziesz zwolna, niknąć będziesz zwolna,
Serce ci zgnije, jako trawa polna,
I gorzej jeszcze, bo trawa na błoni
Nie zgnije, pokąd nie wyda swej woni,
A ty bezczynny, smętny, frasobliwy,
Przejdziesz do grobów — przed śmiercią nieżywy.

* * *

Trudno bo wierzyć, gdy wszystko zawodzi,
Płynąć po morzu na rozbitej łodzi,
W pośmiechu ludzkim iść po drodze długiej,
Widzieć nadzieje, jak jedna po drugiej
W objęciach świata bezdusznego kona,
Wznosić do ludów żebrzące ramiona,
Na których widok potrząsając głową,
Tłum się przesuwa z cichością grobową,
A przecież tobie trzeba wierzyć w Boga,
Bo się roziskrzy twarz płomienna wroga,
Bo to, co jeszcze masz, co nieśmiertelne,
Zmieni się w czarne, w podłe, więc w piekielne.

* * *

Jak sen bolesny lat kilka przebiegło...
Na placach, kędy tysiące poległo,

---

*) Wiersz niniejszy udzielony nam został łaskawie przez p. Antoninę Dzwonkowską, żonę ś. p. Władysława Dzwonkowskiego, dla — i do którego był napisany. Nieodżałowanej, drogiej pamięci autor „Lirenki“ piękny swój utwor poprzedza następującemi słowy:

„Kochany Władysławie! — Smutno! smutno mi bardzo. Oto myśli moje spisane wierszem, nie dla wiersza, które powierzam ci nie jako produkt literacki, ale jako głos zbolałej duszy. Jest to prawdziwe — *nie ma człowieka, któryby tak cierpiał dla rymu.*“

Gdzie krew męczeńska płynęła strugami,
Przekupnie swoje zakładają kramy.
Niewiem co stawiać ludzie byli zdolni,
Lecz wiem, że zmarli wszyscy byli wolni,
Że ci ubodzy, co biegli pod kule,
Których śmiertelnie skrwawione koszule,
Wiszą po niskich chatach, jak sztandary;
Byli to ludzie świętej, wielkiej wiary.
W ich sercach było poświęcenie bratnie.
Powiedzcie duchy! czyście wy ostatnie?

* * *

Na polskich niwach, na tej ziemi smętnej
Dzień ten zostanie na zawsze pamiętny,
Kiedy chorągiew wolności powiała:
Czyjażby dusza na ten znak nie drżała?

Rolnik porzucił zacisze spokojne,
Swój domek cichy i pobiegł na wojnę,
Biedny robotnik, nie bacząc na dzieci:
Obnaża piersi i do bitwy leci.
I padły strzały i cisza się stała...

. . . .

Słońce wybłysło na milczące ciała
I krew poległych przyschła na kamieniach,
Jak sprawiedliwość w zwycięzców sumieniach.

* * *

Szczęśliwi zmarli! zwyciężonym biada!
Na wszystkich padła długa troska blada.
I to, co rodzi się na zgniłej ziemi:
Plugawy, podły rozbrat między swemi.
Bo płomień zemsty, co się z grobów rzuci,
Jeśli wróg wichrem piekielnym obróci
Na uciśnionych domy pochylone,
Zostaną tylko głownie opalone
I wiotki popiół, nie ważny na świecie,
Którym po stronach lada podmuch miecie.

* * *

Nie wszystkich anioł z płomieni ocali;
Naprzód się wiara, potem serce spali,
A gdy ujrzymy z serc i z wiary popiół,
Wtenczas już szatan swego celu dopiął.
Smutno, mój Władziu — może ja cię zwodzę,
Lecz mi się zdaje, że wśród gruzów chodzę,
I że gorącym jakimś wichrem dyszę,
I że śmiech wściekły, albo wycia słyszę.
Litość i miłość, boskie przebaczenie,
Wiarę, poczciwość, pożarły płomienie,
A na ostatkach niezniszczonych kości
Trójgłowy piekieł czarny pies się złości.

* * *

Z dziecinnem sercem i z najczystszą wiarą,
Widzę się jakąś niepotrzebną marą:
Ach, w takich chwilach wśród zwalisk cmętarza
Lecę się chylić na progach ołtarza,
I moc, przez którą jeszcze w świecie żyję,
Z kielicha prawdy wiekuistej piję.
I potem jaśniej, rzeźwiej mi i lepiej;
Świat rozerwany nademną się sklepi,
Zarzuca łuki srebrzyste, tęczowe —
I znowu wznoszę otrzeźwioną głowę
I śpiewam sobie, jak ptak na kalinie,
Gdy się przewali chmura i grzmot minie.

Twój *Teofil.*

Błażej Chotierzinsky.

Napisał

Alojzy Jirásek.

(Dokończenie.)

III.

Młody pan Błażej przystrojony już był do trumny, tylko katafalk przygotowywano dlań jeszcze w kościele. Nakoniec i ten był gotów, a księża przywdziali już byli obrzędowe szaty, gdy nagle rozległ się wystrzał armatni, jeden, drugi, trzeci...

„Sokolica“ włoska.

Sympatyczny — a zbyt nowy jeszcze w życiu, aby mógł być wyzyskanym w literaturze — typ niewieści przedstawia Edmund de Amicis w oryginalnie pięknej swej noweli p. t. „Miłość i gimnastyka“ (Amore e ginnastica*.)

Bohaterka opowiadania, Marja Pedani, miała w życiu jeden cel, jeden ideał, jedną namiętność, której poświęciła całą swą młodość, a tym celem, ideałem i namiętnością była — gimnastyka.

Pedani wierzy gorąco, że rozpowszechnienie ćwiczeń fizycznych i zastosowanie ich w wychowaniu stanie się odrodzeniem ludzkości, która kiedyś wzniesie spiżowe kolumny dla apostołów gimnastyki, bo — jak dowodzi wymownie — „gimnastyka to siła i zdrowie; a siła i zdrowie to słodycz i pogoda, to spokój, męstwo i wielkość ducha!“ Nowe wychowanie, oparte na udoskonalonem ćwiczeniu sił fizycznych, zaoszczędzi —jej zdaniem — społeczeństwu niezliczonych nieszczęść i boleści, zdławi w zarodku tysiące występków i „przyszłym pokoleniom, które lepsze będą, bo silniejsze i sprawiedliwsze, ułatwi dociekanie wielkich zagadnień, nad których rozwiązaniem napróżno mozolą się nasze chore mózgi i wyczerpane nasze siły“.

Oddana całą duszą swej idei, Pedani propaguje ją żywem słowem, piórem, przykładem: wygłasza publiczne odczyty o znaczeniu i doniosłości gimnastyki, pisuje do pism fachowych wyczerpujące tre-

*) Omawiana nowela wyszła w roku ubiegłym wraz z kilku drobniejszymi utworami w osobnej książce pod ogólnym tytułem „Ze szkoły i z domu“ (Fra scuola e casa). Dokładnym a wytwornym przekładem zbiorowego tego dziełka na język polski, wzbogaciła naszą literaturę p. Marja z Siemiradzkich Obrąpalska.

Hetman polny, który przyszedł pożegnać się z synem, spojrzeć na zwłoki jego po raz ostatni, wybiegł pośpiesznie z żałobnej komnaty.

Strzały padały od strony węgierskiego obozu. Roiły się tam tłumy ludzkie, niby pszczoły w ulu, zwłaszcza u ciężkich dział, taranów, moździeży, najgęściej zaś u „totachów".*) W oblężonej fortecy zapomniano w oka mgnieniu o mającym się odbyć pogrzebie, o zmarłym młodym rycerzu — zapomniał o nim nawet sam hetman, ojciec. Cały Hodonin znalazł w jednej chwili na nogach. Mieszkańcy spieszyli z powrotem do swoich domów i sklepów, żołnierze biegli, przeciwnie, na szańce. W powietrzu rozlegały się głośne okrzyki, szczęk broni, a różnorodny ten hałas pokrywał raz w raz potężny grzmot węgierskich dział.

Pan Błażej, tak posępnie zadumany przed chwilą, teraz ożył nagle i dosiadłszy konia popędził śpiesznie ku bramie, aby obejrzeć ludzi i działa. Bramę tę Węgrzy mieli od początku na oku i masę kamieni narzucili w tę stronę. I teraz znowu rzucają! Pada ich gęsty grad... Ale co to znaczy? Żołnierze podnoszą kamienie, pokazując je sobie nawzajem... Dostrzegli hetmana i oto już dwóch z pomiędzy nich biegnie na jego spotkanie, niosąc... Pan Błażej osadził konia.

Co tam się dzieje tak niezwykłego? Przerażeni chłopcy wołają już z daleka, jak gdyby rozum postradali... Co tak podnoszą do góry?

— Patrz, wodzu, czem na nas strzelają! — wołał jeden z żołnierzy, dopadając hetmana i pokazując mu uciętą głowę ludzką, którą trzymał za włosy. Twarz jej, krwią zalana, miała rysy straszliwie wykrzywione od gwałtownego uderzenia, a nie mniej zmienioną do niepoznania była i druga głowa.

Pan Błażej zaniemiał na chwilę. Osiwiał na wojnie, a nieraz i z Turkiem wiódł taniec, lecz nie zdarzyło mu się nigdy widzieć, aby strzelano głowami ludzkiemi.

— To głowy naszych wojaków! — wołał drugi.

— Czy tylko te dwie głowy cisnęli nam Węgrzy? — przemówił nakoniec hetman.

— Spadło ich dotąd dobre pół kopy... i grad ten nie ustaje... Bóg miły wie, skąd tylu naszych...

Stary hetman zbladł. Słowa żołnierza tknęły go do żywego. Oczy zapłonęły mu ogniem, z piersi wyrwał się okrzyk:

— Zwierzęta dzikie, węgierskie!

I wyciągnął rękę po głowy, przypatrując się pilnie martwym twarzom. Obie były brodate, starsze wiekiem. Po chwili milczącego przyglądania się Błażej Chotierzinský wydał rozkaz drżącym od wzruszenia głosem, aby wszystkie te głowy zebrano i złożono w bezpiecznem miejscu, poczem zaciąwszy konia, pojechał dalej.

— Ten psi język mówił prawdę — rzekł sobie w duchu, mając na myśli posła, i mimowolnym ruchem dobył miecza, chociaż nie miał przeciwko komu go użyć. Stracił równowagę wewnętrzną i spokojną myśl. Dzikie strzelanie zmięszało go, wzburzyło. Dokąd tylko podjechał, zewsząd rozlegały się groźnem oburzeniem nabrzmiałe wołania, że Węgrzy strzelają głowami. Hetman zatrzymywał na chwilę konia od czasu do czasu, wyciągał skwapliwie rękę, brał głowy i zapominając o wszystkiem innem, bacznie im się przyglądał. Wszystkie były skrwawione, pełne kurzu lub zeschłego błota, jedne mniej, inne więcej rozbite, zmiażdżone, niektóre aż do niepoznania zmienione. Wpatrywał się w sine twarze stary hetman, jak gdyby oczu od nich oderwać nie mógł, aż przypomniawszy, że to do niczego nie doprowadzi, że na to nawet czasu teraz niema, oddawał głowy pachołkom, wołając, aby zebrali je wszyskie, wszyściutkie i odnieśli na cmentarz wedle kościoła, są to bowiem głowy dzielnych towarzyszy, tych co pośpieszyli pod wodzą jego syna na wyprawę wojenną do węgierskiej ziemi.

*) Rodzaj procy. *(Przyp. autora.)*

ścią, a w formę żywego i jasnego stylu ujęte artykuły, udziela lekcyj gimnastyki prywatnie i w kilku zakładach naukowych, ba, nawet w klasztorze świętego Wincentego. Jako nauczycielka nie miała sobie równej w Turynie. „Podziwiano ją — mówi autor — za niepospolitą sprężystość w dowodzeniu zastępami dzieci, za umiejętność nadawania obrotom ich i ruchom zgodności, szybkości, swobody, za niezwykłą zdolność w urozmaicaniu ćwiczeń niezliczonemi kombinacjami. Na pierwszy rzut oka widziała, która z dziewczynek jakiej potrzebuje gimnastyki; badała niekształtne ciała, szukała niesymetrycznych ramion, zapadłych piersi, przygarbionych pleców, wydętych brzuszków, krzywych łopatek i kolan i starała się poprawiać te ułomności za pomocą całego szeregu odpowiednich ćwiczeń". Nie jedno z tych ćwiczeń sama wynalazła.

Nie poprzestając na tej głośnej i publicznej propagandzie, Pedani stara się przy każdej sposobności krzewić w najbliższem swem otoczeniu zamiłowanie do ćwiczeń fizycznych i wiarę w ich skuteczność: steranemu profesorowi, mieszkającemu w tej, co ona kamienicy, daje wskazówki co do gimnastyki płucnej, zapobiegającej utrudnionemu oddychaniu; pokojówkę sąsiadów uczy jakichś ćwiczeń gimnastycznych wynalazku Baumana, arcyskutecznych na odziębienie palców; odźwiernej doradza gimnastykę kuracyjną dla dziecka, któremu zaczyna rosnąć garb; koresponduje wreszcie z nauczycielkami, po za obrębem Turynu mieszkającemi i miewa fachowe konferencje z redaktorem „Nowego przeglądu gimnastycznego" oraz nauczycielem gimnastyki w więzieniu *La Generale*, gdzie — nawiasem mówiąc — po wprowadzeniu lekcji gimnastyki, dających ujście nadmiarowi energji i zaspakajających miłość własną silniejszych, ustały bunty, krwawe bójki i inne gwałty.

Obok różnorodnych tych zajęć Pedani pracuje gorliwie nad sobą samą zarówno w praktycznym,

— A na głowę mego syna zwróćcie uwagę, na Zdeńka głowę dajcie baczenie! Wszak ją znacie! Bez brody — z wąsami. A jeśli ją znajdziecie!... Węgierski król płaci za głowę po złotemu*), ja zaś zapłacę za głowę mego syna pięć dukatów!

I jechał dalej, wzburzony do głębi, a po chwili znowu wołał:

— Zwierzęta! Madjarskie zwierzęta! Na głowę mego syna baczność!

A głowy padały jedna za drugą, niekiedy po dwie razem, czubami związane ze sobą, nie były to bowiem podgolone głowy węgierskie, lecz czeskie, o długich włosach, niektóre ze skrwawionemi puklami na skrwawionych skroniach...

Towarzysze podnosili je stosownie do rozkazu hetmana i układali na cmentarzu we dwa stosy; przejrzeli wszystkie uważnie, lecz żadna z nich nie była głową Zdeńka; bardziej uszkodzone, których nie mogli dokładnie rozeznać, odkładali na stronę, aby ojciec mógł sam zadecydować. Porachowali je w końcu. Było ich czterysta dwadzieścia pięć, a wciąż inne jeszcze wpadały do miasta. Towarzyszył im głośny wrzask węgierskiego wojska — niby okrzyki radości i tryumfu, a tutaj ludzie żegnali się, bledli, wzdrygali z przerażenia; kobiety zaś mdlały i uciekały od strasznego widoku.

Ci, co układali głowy nieszczęśliwych, wspominali serdecznem słowem biednych towarzyszy, najwięcej jednak mówili o starym swym hetmanie — jak okropnie musi mu być na sercu. Starszy syn spoczywa w trumnie, a głowa młodszego — jeden Bóg miły raczy wiedzieć — gdzie się znajduje! Nie doleciała widocznie do miasta, jak głowy żołnierzy, lecz roztrzaskała się o mury, lub stoczyła do fosy.

Do szturmu nie przyszło, Węgrzy jednak strzelali dalej, lecz wyłącznie z „totachów“, działa odzywały się już tylko od czasu do czasu. Głów przybywało coraz więcej na cmentarzu. Żołnierze naliczyli ich pięćset pięćdziesiąt dwie... Wyciągnęło z miasta pod wodzą pana Zdeńka sześciuset!

— A więc ani jeden nie uszedł śmierci! Ani jeden! Niech Bóg nas ma w swej świętej opiece! — szeptali starzy, zahartowani w boju wojacy, przerażeni okropną porażką, oraz okrucieństwem nieprzyjaciela.

I znowu przybyły dalsze głowy; dodano już do stosu pięćsetną ośmdziesiątą czwartą.

— Teraz będzie już koniec chyba, mówił pan z Mosznowa, który wraz z innymi znalazł się na cmentarzu.

I rzeczywiście okropne strzelanie ustało. Po chwili trwożnego wyczekiwania spojrzenia wszystkich obecnych pobiegły naraz ku wrotom cmentarnym, w których ukazał się Błażej Chotierzinský. Pan z Mosznowa pośpieszył ku niemu z wyciągniętą dłonią.

— Dziś nie doczekamy się już niczego więcej — rzekł stary hetman z dziko zaiskrzonym wzrokiem. — Te zwierzęta chcą nas tylko przerazić, aby zmusić do poddania się. Ci oto mają nas do tego namówić — i wskazał ręką na okropne stosy głów, tonąc spojrzeniem w krwawych twarzach.

Grobowa cisza zapanowała na cmentarzu. Wszystkie oczy skierowały się ku nieszczęśliwemu ojcu. Lekka bladość okrywała jego lica, brwi miał ściągnięte, nerwowe drganie przebiegało rysy... Po chwili podniósł czoło, pytając ponuro:

— A nie znaleźliście też jego głowy?

Żołnierze odpowiedzieli przecząco, dodając, że znajdować się jeszcze może tam oto, między temi... Hetman podszedł do stosu najbardziej zmiażdżonych głów, aby szukać wśród nich bujnej, kędzierzawej głowy swego najmłodszego, swego ulubieńca, który był największą jego dumą i szczęściem, gdy nagle zagrzmiał znowu od węgierskiego obozu wystrzał ar-

*) Po dukacie. Król Maciej płacił Serbom za każdą uciętą głowę po dukacie. *(Przyp. autora.)*

---

jak teoretycznym kierunku: dzień rozpoczyna od trzydziestu głębokich odetchnień raz po raz i wolnych ćwiczeń z ciążkami, następnie wykonywa naj trudniejsze ćwiczenia męskie na sztabie nieruchomej i poręczach; uczęszcza — ku zgorszeniu dewotek — na wykłady słynnych profesorów anatomji i fizjologji, rozczytuje się pilnie w dziełach specjalnych, marząc aby wynaleziono jak najrychlej — obok siłomierzów i płucomierzów — przyrządy do mierzenia stopnia piękności postawy, zwinności chodu i ruchów, zdolności ekwilibrystycznych, słowem wszystkiego, co z siłą i pięknością ma związek.

A jak wygląda ona sama, ta apostołka gimnastyki? Jakiem jest jej oblicze duchowe? — zapyta może ciekawy czytelnik.

Wygląda - zgoła inaczej, niż eteryczne bohaterki sentymentalnej powieści, którym autorowie przypinali skrzydła anielskie do ramion, wielbiąc w nich wdzięk powoju, „co się na dębie zieleni i miękim listkiem korę jego pięści“. Pedani nie ma nic wspólnego z aniołami i powojami. Jest to tylko kobieta-człowiek, silna fizycznie i moralnie, której dotknięcie szorstkiej dłoni losu nie złamie tak łatwo, potrafi ona bowiem stawić śmiałe a wyniosłe czoło burzom życia.

Ciągłe ćwiczenie sił fizycznych nadało wspaniałej postaci tej dwudziestosiedmio-letniej kobiety kształty, godne wojowniczek starożytności, a „cerze jakiś gorący blask dojrzałej młodości, jakąś świeżość ciała pływaczki, przed chwilą z wody wyszłej, coś nieokreślonego, czarownego, co biło od niej, jak upajająca woń drzewa w pełnym rozkwicie“. Rękę miała od gimnastycznych ćwiczeń zgrubiałą, ale piękną, zgrabną i silną, głos o męzkiem nieomal brzmieniu, lecz pełny, gorący i dźwięczny.

(Dokończenie nastąpi.)

matni, a po nim drugi, trzeci... Pan Błażej obejrzał się, nadsłuchując, wyczekując. — Dziki ryk nieprzyjaciela rozległ się tryumfalniej, głośniej, niż kiedykolwiek, poczem znowu zapanowała cisza. — Cóż tam mogło zajść nowego? Lecz wpierw, nim wrócił żołnierz, przez niego wysłany, już nadbiegają dwaj inni, niosąc coś ze sobą. Jeden trzyma w ręku baranią skórę, drugi głowę. Stary hetman rzucił się ku nim, i pochwycił drżącą dłonią młodą, kędzierzawą głowę, bez brody, z pięknymi wąsami, całkiem czystą, lecz zsiniałą.

Padła, owinięta w słomę i siano, zaszyta w skórę — ostatnia. — Pan Błażej wpatrywał się przez chwilę w martwe rysy ukochanego dziecka, poczem zwracając się do pana z Mosznowa, zauważył:

— Wódz przyszedł na ostatku — i rzuciwszy sakiewkę ludziom, którzy przynieśli głowę, opuścił cmentarz.

Pan z Mosznowa wydał rozkaz, aby przystąpiono natychmiast do kopania wspólnego dołu dla głów poległych towarzys. y...

W mieście zapanowała martwa cisza. Na cmentarzu jedynie wrzało życie: dzwoniły tam oskardy i motyki, połyskując w zachodzącem słońcu. Blask jego oblewał po raz ostatni pięćset ośmdziesiąt cztery ściętych głów mężnych wojaków. Padli oni pod orężem przemagającej siły nieprzyjaciela, który natarł na nich niespodzianie, z zasadzki, gdy spieszyli towarzyszom na pomoc, wioząc im żywność na trzydziestu pełnych wozach! Pięćset ośmdziesiątą piątą głowę kładł w tej samej chwili hetman Chotierzinský obok głowy zmarłego Błażeja, mówiąc ponuro:

— A więc spotkaliście się przecie, bracia, na tym świecie!

Był sam na sam z nimi, żegnając na zawsze zniszczone swe szczęście... Wpatrywał się w martwe twarze synów tak długo, aż oczy mu się zaszkliły, a wówczas pochylił się, pocałował zimne czoła i opuścił komnatę.

IV.

Rozjękły się hodonińskie dzwony, a głos ich biegł wieczornym zmrokiem aż do węgierskiego obozu, witany tam urągliwym śmiechem.

— Dziś grzebią swoich, a jutro się poddadzą — powtarzali jedni drugim tonem głebokiego przekonania.

W Hodoninie płakały dzwony, lecz zmarłych nie chowano. Błażej Chotierzinský kazał dzwonić jak na pogrzeb, a sam przygotowywał się tymczasem do walki. Wyglądał już spokojniejszy, objeżdżał wszystkie zakątki, ustawiał żołnierzy, wydawał stanowcze, a trafne rozporządzenia. Oczy tylko świeciły mu dziwnym jakimś blaskiem.

Żołnierze, rozjątrzeni losem, jaki spotkał ich towarzyszy, wrzeli pragnieniem boju i zemsty. Hetman zaś mówił do pana z Mosznowa:

— Węgierskiego króla kosztowała już ta sprawa pięćset ośmdziesiąt cztery dukatów, ale doda jeszcze trochę krwi do tego złota...

Z nadejściem nocy, załoga wypadła z miasta. Nikt nie myślał, że są słabsi liczebnie, każdy pędził, aby pomścić głowy towarzyszy. A wszystkim przodował pan Błażej. Rąbał za trzech, chociaż był stary.

Węgrzy napaści się nie spodziewali. A to było właśnie niedobrze.

V.

Król Maciej dodał wiele krwi, wielu żołnierzy, do dukatów, jakie wypłacił za głowy czeskich rycerzy. Roznamiętniona załoga straszliwie gospodarowała w jego obozie. A nadto, nadbiegła wieść, że król Jerzyk ciągnie z Czech na czele licznego wojska. Na drugi też dzień rozkazał Maciej zwijać namioty. Gdy wojska węgierskie ruszyły od Hodonina, Błażej Chotierzinský posiadał jeszcze całą przytomność umysłu. Zajaśniało radością mężkie, teraz zapadłe jego oblicze, gdy pan Vlček mu oznajmił, że Hodonin został uwolniony od nieprzyjaciela i że król Jerzy spieszy z ogromnem wojskiem na Węgrów.

— Bieguij na jego spotkanie — prosił stary hetman wiernego towarzysza, słynącego z umiejętności ustawiania wozów bojowych.

Nazajutrz dzielny wódz zamknął oczy na wieki. Rany, jakie otrzymał podczas nocnej walki, mszcząc śmierć syna, okazały się śmiertelne. Złożono go do tego samego grobu, gdzie spoczywały już zwłoki jego Błażeja i głowa Zdeňka.

Przełożyła z czeskiego za upoważnieniem Autora
M. Wysłouchowa.

Żydzi o kwestji żydowskiej.

(Ciąg dalszy.)

Zapomocą krótkowidzącego mechanicznego światopoglądu wychowano ludzi wyśmiewających wszelką wiarę pozytywną, sądzących, że teorja descendencji dowiodła nieistnienia stwórcy i wyśmiewających biednych chrześcjan, którzy muszą się przed kimś chylić, a właściwie są poganami, gdyż czczą ludzi, jako bogów i świętych. Eksperyment jednak poniósł sromotną klęskę, gdyż uczeń poszedł dalej, niż mistrz sobie życzył. Razem z Bogiem wyśmiano wszystko dobre, dowodzono, że wszelka moralność jest względną, zwątpiono, czy to, co my subjektywnie uważamy za złe, jest też istotnie złem, i czy w ogóle jest jakie absolutne zło. Tak doszliśmy do zasady, że każdy może słuchać swych instynktów, zaspokajać swe potrzeby i zwalczać wszystko, co mu stoi w drodze. Granice istniejące między narodami w obyczajach i mowie, zwyczajach i prawie nie istniały dla żydów. Przez tyle wieków uciskani, rozproszeni po całej ziemi, nauczyli się być

obojętnymi na kłótnie narodowościowe, skwapliwie chwycili się przeto myśli zbratania narodów, by tem wygodniej dążyć do swego międzynarodowego ideału — panowania pieniężnego“.

Streściliśmy tę, bez wątpienia najważniejszą część broszury dra Caro, w obszernym wyciągu i prawie wyłącznie jego własnemi słowami. Przeczytawszy te ustępy, nikt nie zaprzeczy, że stanowią one właściwe jądro jego pracy, jej filozoficzną kwintesencję. Autor poruszył tu takie mnóstwo kwestji nadzwyczaj ważnych, lecz równocześnie nadzwyczaj trudnych i skomplikowanych, że nikt się nie zdziwi, jeżeli nie wszystko tu jest jasne i konsekwentne. Chociaż dalecy jesteśmy od myśli, byśmy byli w stanie wszystko tu wyjaśnić i doprowadzić do rzeczywiście niezaprzeczalnych rozwiązań, to przecież pozwolimy sobie poddać myśli i fakty, poruszone przez dra Caro nieco szczegółowszej dyskusji.

VII.

Czy religji żydowskiej można przypisać jaki deprawujący wpływ na żydów obecnych? Dr. Caro zdaniem naszem nie zupełnie jasno stawia tę kwestję. Raz daje odpowiedź stanowczo przeczącą, ale wkrótce potem uznaje f a n a t y z m niewykształconych mas za jednę z głównych wad żydostwa. Jaki fanatyzm? Oczywiście, fanatyzm r e l i g i j n y. Ale czyż fanatyzm religijny a religja jest jedno i to samo? Nie, ale fanatyzm religijny jest jednym z objawów uczucia religijnego.

Że religja żydowska, jako taka nie jest sprzeczna z pojęciem tolerancji i wysokich cnót obywatelskich, tego pięknym dowodem jest historja — niestety, zbyt mało znana — państwa Chozarów w Krymie, jedynego państwa europejskiego, w którem dynastja i warstwa panująca wyznawały religję mojżeszową, a które przecież w XIII. wieku, w czasie wojen krzyżowych i rzezi Albigensów było jedynem państwem w Europie, w którem panowała powszechna tolerancja religijna i w którem obywatele różnych religij zgodnie pełnili obowiązki obywatelskie (zob. piękny artykuł ukraińskiego historyka Gołubowskiego o Chozarach i Bułgarach w miesięczniku „Kijewskaja Starina“ 1881 r.).

Tak samo świetny przykład tolerancji i zgodliwości religijnej dają nam żydzi hiszpańscy pod panowaniem Maurów, którzy, jak wiadomo, pracując ręka w rękę z muzułmanami, przyczynili się byli ogromnie do ekonomicznego i umysłowego rozkwitu tego kraju przed rewindykacją hiszpańską.

A przecież żydom współczesnym pan Caro imputuje f a n a t y z m! Co to znaczy! Czy raptem zaczęli oni myśleć o prozelityzmie? Nie — fanatyzm tych ciemnych mas żydowskich objawia się w zasklepianiu się od wpływów cywilizacji i w upartem trzymaniu się tej starej tradycji, że żydzi są narodem wybranym i że wszystkie inne narody są niższe od nich, są przeznaczone stać się ich sługami. Niestety, dr. Caro nie wdaje się bliżej w objaśnienie, czy taki właśnie fanatyzm ma na myśli; lecz z jego postulatu, jaki dalej stawia żydom, można wnioskować, że właśnie tak się na ów fanatyzm zapatruje. Każe on żydom zrzec się stanowczo i raz na zawsze myśli o ich wrzekomej wyższości, jako narodu wybranego. Zapomina jednakże o jednem, że ta wyższość żydów, ten ich charakter, jako narodu wybranego jest w ł a ś n i e s k ł a d o w ą c z ę ś c i ą i c h r e l i g j i i b e z n a r u s z e n i a p o d s t a w j e j d o g m a t y k i u s u n ą ć s i ę n i e d a. Lecz z drugiej strony nie zadaje też sobie pytania: dlaczegoż to żydzi nie poczuwali się wyższymi w Hiszpanji i nie uważali Maurów za niegodnych swej przyjaźni? Wszakże dogmatyka żydowska była i wówczas taka sama, a przecież nie przeszkadzała żydom hiszpańskim być elementem cywilizacyjnym i produkcyjnym, tak samo, jak nie przeskadzała im w Krymie. Rzecz oczywista, że nie w religji, nie w dogmatyce tu sęk. Ale w czem? O tem dalej.

Dyskusja w kwestji rasy i właściwości rasowych jest jeszcze trudniejszą, niż w kwestji religji. Czy są jakie właściwości rasy, udzielające się z urodzenia każdemu jej osobnikowi? Czy są one silniejsze od wpływów klimatu, wychowania i otoczenia? Czy w równym lub nierównym stopniu udzielają się potomkom? Czy i jako modyfikują się pod wpływem krzyżowania z innemi rasami? Wszak na żadne z tych pytań autropologja dziś jeszcze ani w przybliżeniu nie może dać ścisłej odpowiedzi. A przecież ileż to w naszych czasach nabajdurzono na temat rasowych właściwości ludów i nawet taki uczony, jak Taine, odparł całe swe, świetne pod wieloma względami, opracowanie dziejów literatury angielskiej na tej fikcyjnej skale, na teorji a raczej na frazesie o właściwościach rasowych!

Co się tyczy rasy semickiej, to jakichś jednolitych, stałych właściwości przypisać jej trudno. Że jest to rasa nadzwyczaj uzdolniona, tego nikt nie zaprzeczy. Że jest to jedna z najstarszych ras cywilizowanych a może właśnie ta, od której poczęła się wszelka wyższa cywilizacja, to dziś również jest prawie niewątpliwem, od kiedy genjalne odkrycia Grotefenda, Rawlinsona, Layarda, Opperta i innych pomogły nam odsłonić zamierzchłą przeszłość ludów semickich nad Eufratem i Tygrysem. Dziś już nikt prawie nie wątpi, że kolebką naszej cywilizacji był nie Egipt, lecz dorzecze Eufratu; że egipskie hieroglify, pismo fenickie (z niego greckie), hebrejskie i arabskie z jednej, a sanskryckie z drugiej strony powstały z prastarych ideogramów akadyjsko-babilońskich (zob. Fritz Hommel, Geschichte der Babilonier und Assyrier i jego rozprawę „Die Semiten“.) Czy Semici mieli wrodzony pociąg do szachrajstwa? Fenicjanie byli żeglarzami, handlarzami i szachrajami, lecz kto wie, czy dlatego, iż byli Semitami, czy dla tego, iż mieszkali nad morzem, na glebie nędznej i nieurodzajnej? Akkadyjczycy byli rolnikami, Arabowie nomadami bez szczególnego pociągu do kupiectwa. Byli bohaterscy i wojowniczy, nprz. Assyryjczycy i Arabowie, lecz byli i rozwiąźli, jak Babilończycy za czasów Cy-

rusa, Aleksandra i Augusta. Niemasz rysów, któreby były wspólne wszystkim szczepom semickim i pozostawały takimi przez wszystkie wieki. Byli ludźmi i podlegali ogólno ludzkiej zmienności.

To samo odnosi się i do Żydów. Co wiemy o nich z czasów przed niewolą babilońską? Stosunkowo nie dużo rzeczy, któreby można ważyć na wadze ścisłej krytyki historycznej, zwłaszcza gdy weźmiemy na uwagę, że pisma żydowskie (tzw. stary testament), jedyne prawie źródło, jakie mamy do owych starych dziejów żydowskich, w tej formie jak je mamy dzisiaj, wszystkie bez wyjątku są utworem czasów późniejszych, napisane zostały już po powrocie z niewoli babilońskiej, a więc są utworami pseudepigraficznymi. Rzecz pewna, że do ich kompozycji użyto jakichś dawniejszych materjałów, zapisków, dokumentów i wspomnień, ale jakich, skąd czerpanych, o ile autentycznych, w jakiej mierze przetworzonych przed wcieleniem w nowe kompozycje — o tem możemy tylko hipotezy tworzyć.

A w tych czasach, kiedy powstają te pisma, w V., IV. i III. w. przed Chrystusem, widzimy już żydów w stanie podobnym do dzisiejszego: część narodu mieszka w Palestynie, bez samodzielności politycznej (z wyjątkiem krótkiego epizodu z Hasmonejczykami), zajęta rolnictwem i rzemiosłami, bez wysokiej cywilizacji, lecz pielęgnując z predylekcją uczucia i wierzenia religijne i kupiąc się około jedynej świątyni narodowej w Jerozolimie — to raczej sekta religijna, raczej wielka, 2—3 miljonowa gmina wyznaniowa, niż naród; druga, liczniejsza część już wówczas rozsianą jest po świecie, tworzy również gminy wyznaniowe w Damaszku, Antiochji, Babilonie, Aleksandrji i wreszcie w Rzymie.

I. Franko.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z ruchu literackiego.

Niwa. *Dwutygodnik naukowy, społeczny i literacki.* Zeszyt styczniowy 1893.

Znający historję ruchu umysłowego w Polsce w ostatnich trzech dziesięcioleciach, a w szczególności prądy naukowo-literackie w Warszawie w tym okresie, wiedzą, jaką przed laty dwudziestu rolę odegrało pismo, którego nagłówek znajduje się na czele niniejszej notatki. *Niwa,* jakkolwiek mniej radykalna od ówczesnego *Przeglądu Tygodniowego,* z którego łamów ogniste rzucano strzały na wszelakich „zacofańców“ i „obskurantów“, hołdowała ideom postępowym i na polu walki „młodych ze starymi“ również znaczne położyła zasługi. Później atoli zmienił się jej charakter: z organu pozytywistów stało się z niej narzędzie tych, przeciw którym nie tak zbyt dawno jeszcze z otwartą w pole wyruszała przyłbicą. Jako filia *Słowa* spełniła ona znowu swoje zadanie — na to, ażeby obecnie, zmieniwszy właścicieli i redakcję, stanąć na gruncie godnym szczerej sympatji.

Trudno wprawdzie po pierwszym numerze przeobrażonego dwutygodnika stanowczy wydać sąd o jego celach oraz drogach, jakiemi do tych celów swoich kroczyć zamierza, ogólne jednak wrażenie, pozostające w nas po jego przeczytaniu, jest dodatnie.

Niwa, jak zapowiada prospekt, będzie organem, poświęconym zagadnieniom naukowym w ogóle. Nie wyłączy ona z zakresu swej działalności żadnej dziedziny wiedzy, główny jednak nacisk położy na zagadnienia filozoficzne, ponieważ w nich „krzyżują się i ogniskują wszystkie poszczególne gałęzie wiedzy“ — ponieważ w nich organizuje się plan najbardziej olbrzymi, plan jednolitego na świat poglądu. Co do formy, w jakiej *Niwa* podawać zamierza czytelnikom swoim wyniki badań naukowych, to będzie ona zastosowaną do umysłów o wykształceniu średniem, a więc przystępną dla kół stosunkowo dość szerokich.

Obok tego systematycznego informowania „o wypadkach z dziedziny ruchu umysłowego“, wstawiła *Niwa* do programu swego trzy jeszcze działy, mianowicie społeczny, literacki i krytyczno-sprawozdawczy.

W dziale społecznym przeobrażony dwutygodnik zapowiada, że unikać będzie suchego rejestrowania faktów, ale staraniem jego będzie „do tego, co zkądinąd już wiadomem“, dodawać materjał nowy, wskazówki uzupełniające, cyfrowe lub faktyczne, zdobyte także w drodze porównawczej. W koło roztrząsań swoich zamierza bowiem *Niwa* wciągać analogiczne zjawiska w życiu innych społeczeństw. Nowa redakcja — i to jej w czasach dzisiejszego mameluctwa za wielką poczytać należy zasługę — zapowiada otwarcie, że unikać będzie systemu trwożliwego przemilczania lub zacierania wielu spraw publicznych, i że roztrząsając je, z całą sumiennością będzie brała pod rozwagę zdania od jej sądów odmienne.

Redakcja nie określa swego stanowiska społecznego, z wielu danych sądzić jednak można, że *Niwa* będzie pismem eklektycznem — co *Wiek* dowcipnie nazwał „chwilową administracją cudzych przekonań“. Zresztą sądząc po artykule redaktora naczelnego, pana Grendyszyńskiego, umieszczonym na czele numeru, sprawy społeczno-politycznej natury traktowane będą — wbrew zapowiedzi w prospekcie — w sposób bagatelizujący.

Podobną sprzeczność, z tą tylko różnicą, że wychodzi ona na korzyść wykonania a ze szkodą zapowiedzi prospektowej, znajdujemy także w dziale literackim.

Redakcja mówi w prospekcie, że, nie chcąc beletrystyki używać za rodzaj wabika, nie uważając nawet działu tego za obowiązkowy, podawać będzie te tylko płody literatury pięknej, które odznaczają się zaletami formy i treści. Zapowiedź tego rodzaju ma charakter bardzo ogólnikowy, nic absolutnie nie mówiący. Każde inne pismo, począwszy od najpoważniejszego organu, a skończywszy na zwykłym świstku brukowym, powie to samo. Jak potężnym czynnikiem w życiu społeczeństwa jest literatura nadobna, o tem redaktorowie *Niwy* chyba dobrze wiedzą, dlatego niezrozumiałem jest wprost, ażeby w organie, który ma na celu „budzenie szerzej pojętych potrzeb umysłowych, pogłębianie myśli swoj-

skiej i wytwarzanie samodzielnej atmosfery umysłowej, któraby nie była już bierną, lecz posiadała moc oddziaływania w sposób oryginalny" — otóż niezrozumiałem jest, ażeby w organie o jednym z najpotężniejszych czynników, nie było zdania wypowiedzianego jaśniej i stanowczej.

Poezja — rymowana i nierymowana — wywierała i wywierać zawsze będzie na wychowanie całych pokoleń wpływ, którego bagatelizować nie można, a któremu należało w piśmie, tego pokroju co *Niwa,* kilka szczegółowych poświęcić uwag.

Ogólnikowy charakter posiada także zapowiedź co do działu krytyczno-sprawozdawczego.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach program przeobrażonego pisma, którego pierwszy numer uwzględnia też wszystkie działy, zaznaczone w prospekcie — co do jednego atoli działu, jak to zaznaczyliśmy powyżej, daleko szerzej, aniżeli głosi zapowiedź. Mamy na myśli dział literacki, zawierający obszerny artykuł Bron. Chlebowskiego „o nowo odnalezionych utworach Reja", piękny wiersz Antoniego Langego „Cyfra i Słowo"; kilka scen (8 bitych stronnic in quarto) wyróżnionego na konkursie *Kurjera Warszawskiego* dramatu D. Zglińskiego „Jakób Warka".

W innych działach mamy: „Rozwój stopniowy od kryć i wynalazków" Stan. Kramsztyka, „Główne prądy umysłowe i filozoficzne z XVIII. wieku" Adama Szawłowskiego, „Kilka słów z powodu doświadczenia Pettenkofera" (z dziedziny hygieny) Ottona Bujwida, „Liczmany myśli i mowy" (fantazja krytyczna) Ignacego Matuszewskiego. Dział krytyczno-sprawozdawczy zawiera rozbiory: Pierwszych zasad fizyki dra. Elroy M. Avery (przez dra. K. P.), Marjana Gawalewicza powieści „Mechesy" (przez Ign. Matuszewskiego) i Poezyj Stan. Rossowskiego (pzez Z. Kwiatkowskiego).

Numer zamyka przegląd „spraw bieżących" przez Ludw. Straszewicza oraz notatki naukowe i bibliograficzne.

Dwutygodnikowi szczerze życzymy jak największego powodzenia. *J. K.*

Wilhelm Czerwiński.

(Wspomnienie pośmiertne).

Nie minął miesiąc od chwili, gdy z tego miejsca żegnaliśmy zwłoki nieodżałowanego muzyka Ludwika Marka, gdy dziś już przychodzi nam uczynić to samo u trumny Wilhelma Czerwińskiego.

Śp. Wilhelm Czerwiński, urodzony we Lwowie, w r. 1837, pochodził, mimo polskiego nazwiska, z niemieckiej rodziny mieszczańskiej, sam zaś czuł się prawym i wiernym Polakiem. Naukę teorji muzyki pobierał u Franciszka Notebohna w Wiedniu, gry na fortepianie uczył się u Jaela. Po powrocie do Lwowa z całem zamiłowaniem oddał się udzielaniu lekcji fortepianowych i komponowaniu. Pierwszy utwór fortepianowy, wydany drukiem, nosi tytuł: „Nad jeziorem". Gdyby śp. Czerwiński pozostał przy swem *genre,* t. j., gdyby w twórczości swej był się ograniczył do pisania rzeczy drobniejszych, jak to początkowo czynił, produkując salonowe utwory fortepianowe, pełne wdzięku, a nawet poezji, gdyby się był ograniczył do pisania drobnych a serdecznych pieśni, jakiemi zawsze celował, Czerwiński, mając dziś tyloletnią rutynę, byłby przy swej wytrwałości i sumienności daleko, bardzo daleko doprowadził, boć niesłuszne jest zapatrywanie, że rozmiary kompozycji idą w parze z rozmiarami talentu.

Niestety, niczem niepohamowana, bezgraniczna ambicja, gnała śp. Czerwińskiego na bystre a złudne fale szerokiej twórczości muzycznej. Czerwiński pisał koncerty fortepianowe i skrzypcowe, utwory symfoniczne, oratorja, opery, operetki i t. p. Praca to żmudna a niewdzięczna; na tysiąc piszących ledwo jeden doczeka się uczciwego uznania i powodzenia.

Toteż żywot śp. Czerwińskiego, mimo niekłamanych sympatji, jakiemi dla swego niepospolitego, jak kryształ czystego charakteru, ogólnie się cieszył — był nieprzerwanem pasmem bolesnych zawodów i rozczarowań. Nikt. literalnie nikt nie był w stanie ukoić bólu zacnego tego człowieka. Najbliższemu przyjacielowi nie stało środków, ni sposobów, by w chwili potrzeby — a ta, niestety, zbyt często do wrót Czerwińskiego kołatała — przyjść mu z pomocą, by choć od biedy zapewnić mu przyszłość i starość. Dumny, stokroć dumny i nieugięty charakter Czerwińskiego unicestwiał każdą, najprzyjaźniejszą akcję. Nigdy się nie ugiął, miał swe święte przekonania i z temi zanieśli go do grobu. Cześć mu za to!

Pośród wielu jego ulubionych kompozycji, z których najpopularniejszy jest „Marsz Sokołów", do słów Jana Lama, benjaminkiem Czerwińskiego była jego wielka, trzyaktowa opera „Rusałka", napisana do słów niemieckiego poety, Mosenthala. Opera ta od kilku lat znajduje się w archiwum nadwornej opery wiedeńskiej. Publiczność polska poznała piękne to dzieło tylko ustępami, na koncertach własnych Czerwińskiego. Oprócz „Rusałki" znajdują się w tece pośmiertnej Czerwińskiego o ile nam wiadomo: Oratorjum „Noc": ballada na sopran „Duch rybaka"; „Nocturn" na chór męzki z towarzyszeniem klarynetu i waltorni i wiele kompozycji fortepianowych. Przejrzeniem i wydaniem tych utworów powinni zająć się muzycy lwowscy.

Mimo, że żywot upływał Czerwińskiemu wśród cierni i głogów, w pracy wytrwałej a sumiennej nigdy nie ustawał. Sztuce swej, muzyce ukochanej, oddawał się z młodzieńczym zapałem, żył i cierpiał dla sztuki, dla ideału.

Zwłokom śp. Czerwińskiego towarzyszy do grobu serdeczny żal wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli sposobność poznać za życia czystą i zacną tę duszę.

Cześć jego pamięci!

Stanisław Meliński.